

Danuta Pniewska
Nagranie z dnia 15 sierpnia 1990
Londyn

Skrot nagranej relacji

 **ARCHIWUM WSCHODNIE**

Zacznę od pieca. My naprawdę jesteśmy rodziną z Mazowsza, ale ojciec był urzędnikiem państwowym, więc nas przerzucano. W ostatnim czasie przed wojną byliśmy w Grodnie, a potem w Nowogródku. Na wakacjach byliśmy jak zwykle na Mazowszu u rodziny, ale wcześniej wróciliśmy, bo ojciec był podoficerem (chyba plutonowym) rezerwy i liczył się z tym, że może już czekać na niego papiery wzywające do wojska. Bo na Mazowszu już była mobilizacja, wszyscy moi krewni szli do wojska.

Nowogródek to było miasto od niedawna wojewódzkie, niewielkie, zamieszkane przez Polaków, Żydów i Białorusinów. Pierwszą rzeczą jaką po powrocie zrobiłam to było zapisanie się do drużyny harcerskiej. Skończyłam właśnie szkołę powszechną ss. nazaretanek, ale to była szkoła klasztorna. Była wprawdzie drużyna dla chłopców (szkoła była koedukacyjna), ale siostry uważały, że harcerstwo to nie jest organizacja dostatecznie dziewczęca. Ale jak tylko przyjechałam z wakacji do Nowogródka, koleżanki przyleciały żeby powiedzieć mi, że nie muszę czekać do 3 września : mogę już wcześniej zapisać się do drużyny gimnazjalnej, bo będzie kurs sanitarny - wojna wisi na włosku. Więc zapisałyśmy się na ten kurs i chodziło się codziennie na ćwiczenia. Pamiętam, że dr Piekarski, chyba ochotnik z 20 roku opowiadał nam różne fantastyczne historie i byłyśmy bardzo przejęte. W Nowogródku nie było szpitala, zaczęto organizować szpital wojskowy na wypadek wojny, myśmy tam miały dyżury, prałyśmy łątały bieliznę itp. Bardzo to wszystko było podniecające. Potem kopało się rowy przeciwlotnicze - wszystko to przeciw Niemcom.

W połowie września ojca wezwano do województwa, coś wisiało w powietrzu. Urzędnicy otrzymali chyba trzymiesięczne pobory z górą; lepiej, żeby pieniądze były wśród ludzi. 17 września zaczęły kra-

żyć pogłoski, że coś się dzieje na granicy sowieckiej, niewiadomo było jednak, czy idą jako przyjaciele, czy jako wrogowie. Wszyscy mężczyźni zaczęli z Nowogródka wychodzić. Ojciec włożył swój mundur i buty z cholewami i wymaszerował z kolegą z województwa. Chyba w południe przyszła wiadomość, że jada... Wszyscy wyległimy na ulicę Korelicką, główną szosę. Tłumy ludzi stały w ponurym milczeniu, jechały czołgi sowieckie. Dwaj bodajże najzamożniejsi ludzie w mieście, panowie Delatycy (?) - jeden miał aptekę a drugi skład materiałów piśmiennych - bardzo sympatyczni Żydzi i kulturalni - wyjechali na motocyklach z czerwonymi flagami i bukietami kwiatów witać wojsko sowieckie jako oswobodzicieli. Byli chyba jedyni, może jeszcze trochę Białorusinów. My ponuro staliśmy i patrzyliśmy.

Wróciliśmy do domu. Niedługo potem zjawił się tata po cywilnemu, ponieważ okazało się, że nie było mowy o dostaniu się do jakiegokolwiek jednostki wojskowej. Jacyś wieśniacy białoruscy dali im cywilne ubrania. Tata dużo jeździł po wsiach białoruskich, ponieważ pracował w dziale scalenia gruntów, wszędzie go bardzo lubili, miał wielu przyjaciół, był taki brat-kata, więc pomogli.

Noc była niespokojna bardzo, bo nikt naprawdę nie wiedział, co się dzieje. Myśmy mieszkali w domu policjanta, nasi najbliżsi sąsiedzi to też była rodzina policjanta. Ponieważ policja już wyszła na Litwę i tam ich internowano (o czym dowiedzieliśmy się później) - żony i dzieci bardzo się bały. Wiadomo, w takich sytuacjach różne prywatne animozje wychodzą na wierzch. Więc ta rodzina sąsiadów i nasza gospodyni (zresztą Białorusinka) bez dzieci, ale z bratem i siostrą - wszyscy przyszli do nas na noc. Siedzieliśmy wspólnie na podłodze na materacach, w nocy ktoś wpadł na pomysł, że trzeba przejść na stronę gospodyni, bo tam jest przejście do piwnicy, a zaczęła się jakaś strzelanina. Zaczęliśmy bardzo cicho przechodzić przez korytarz do kuchni gospodyni, ktoś śpiącemu koło miednicy psu nadepnął na łapę, pies skoczył, miednica się z brzękiem przewróciła.

Tata orzekł, że jeśli chłopci białoruscy z siekierami, których się wszyscy spodziewali (tak rozumowali wszyscy, którzy przeżyli wojnę z bolszewikami: chłopci mordują panów) usłyszeli ten rumor, to nie ma co iść do piwnicy, bo posiekają nas w piwnicy. Wróciliśmy na miejsce. Nazajutrz się okazało, że to żołnierze sowieccy strzelali do siebie, bo było jakieś nieporozumienie (jeden drugiego wziął za napastnika).

Przyszła okupacja. Tata pracował w rosyjskiej instytucji. Mieszkaliśmy na przedmieściu, na 3 Maja. Naprzeciw był piękny dwór w parku (nie pamiętam nazwiska właścicieli - Troczyński?), i w tym dworze powstała maszyno-traktornia stacja, przedsiębiorstwo, które sprowadzało do kołchozów maszyny. Ojciec tam został buchalterem. Nasza gospodyni, Białorusinka ale żona Polaka, uciekła bojąc się wywózki (jej rodzeństwo wróciło na wieś do rodziny). Nazywała się Korsakowa, obecnie mieszka w Polsce, chyba w Warszawie. Była malerką samoukiem, wywozić ją przyszli chyba w pierwszym rzucie na początku 40 roku. Policjantów wywożono pierwszych i ich rodziny. Wiem, że również tę drugą rodzinę policyjną przyszli zabierać. (...) W mieszkaniu po pani Korsakowej zamieszkał Rosjanin z maszyno-traktornej stacji z żoną i dziećmi, zresztą całkiem sympatyczny człowiek. A w domu wywiezionych do Kazachstanu sąsiadów też mieszkał Rosjanin, jakiś brygadier z tejże stacji, z dwoma obrzydliwymi małymi chłopczykami, którzy zawsze w moim ogrodzie kradli kwiaty i zawsze ich tłukłam. Mając lat 13 człowiek nie zdawał sobie sprawy że takie drobne nieporozumienia mogą mieć polityczne oddźwięki. Mama mdlała ze strachu, że nas wszystkich aresztują, ale nic z tego nie wynikło.

Mieszkaliśmy więc pod okupacją sowiecką. Zaczęłam chodzić do polskiej szkoły. Gimnazjum i szkołę powszechną skomasowano w dziesięciolatkę, było ciasno, nas przerzucili z pierwszej gimnazjalnej do 6 klasy dziesięciolatki. W Nowogródku było przed wojną

tylko jedno gimnazjum państwowe i małe gimnazjum prywatne. Do gimnazjum trzeba było składać trudny egzamin. Jak przyszli sowioci, orzekli, że jest to "wydunka polskich panów" - wszyscy mają iść do gimnazjum. Wobec tego przyjęli całą młodzież polską, żydowską i białoruską, która się przedtem nie nadawała - i nie mieściliśmy się. Zarekwirowano więc jakieś inne szkoły. Pierwsze dni były w starym gimnazjum Mickiewicza w śródmieściu, tam było wesoło. Chłopcy namalowali na piecu portret Stalina z rogami, więc trzy dni nie było lekcji, bo niczym się nie dawało zmyć tego portretu. Zabrano nam czytanki, podręczniki do historii, książki lekturowe np. Siem^kiewicza itp. To było na iddeksie. Po te książki dobierałyśmy się potem do starego gimnazjum (były tam składowane), ale nic z tego nie wyszło, omal nas nie złapali. Ale jak przyszły pierwsze wywozy osadników i policjantów (chyba zaraz po Bożym Narodzeniu), jedna z moich koleżanek wylądowała w Archangielsku. Listy stamtąd szły długo, ale mogli pisać. I Krysia Słomykówna błagała, żeby przysłać książki, bo tam noce były długie, krótko pracowały (...). Wykraadałyśmy więc zarekwirowane książki (złożone na strychu dawnych nazereterek) i wysyłałyśmy je w paczkach do Archangielska. Koleżanka z Kazachstanu Ala Sygdoftówna, obecnie Ala Taylor (jest profesorem w Gdańsku czy w Gdyni) też napisała do nas z prośbą o książki, nocnik i grzebień gęsty do wszy. Znow się te książki wysyłało.

Oczywiście były aresztowania itp, ale do nas, trzynastolatków to nie dochodziło, myśmy się świetnie bawiły w wojnę. Na przykład kiedyś przywieziono do szkoły ogromne portrety Engelsa, Lenina, Stalina - miało to być powieszono, ale na razie nie było na to haków. A była to przedtem szkoła katolicka obwieszona świętymi obrazami, które zabrano. Nowe portrety stały, czekając na powieszenie. Postawiliśmy przy nich kosz na śmieci i chłopcy zabawiali się strzelaniem zapałkami do kosza. Kto pierwszy podpalił portrety? Podpalili

liśmy nie tylko obrazy ale i kawałek klasy. Była wielka awantura, moja mama mdlała, bo ją wzywano. Naszego starego dyrektora oczywiście dawno już zabrano, teraz był Rosjanin, bardzo przyzwoity. Wydaje mi się, że nas bronił. Natomiast nauczyciel wychowania politycznego politruk, miał z nami bardzo na pieńku. Uczyliśmy się na dwie zmiany wyłączaaliśmy (psując) światło na jego lekcjach itd. (...) Wprowadzili język rosyjski i białoruski. Każdy miał za punkt honoru mieć dwóję z nich. Do dziś tego żałuję. Niedługo miałam 72 błędy w dyktandzie, cała klasa mnie na rękach nosiła. Białoruskiego uczył młody student (chyba z Wilna, bo nie pamiętam, czy w Nowogródku było gimnazjum białoruskie), nie mógł sobie dać rady z klasą, strasznie się mordował. (...)

Mama też musiała pracować, haftowała jakieś bluzki, sprzedawała na rynku jakieś rzeczy. Stamtąd ją kiedyś zabrała policja, zaczęli ją wypytywać kim jest mąż. Mama prawie nie umiała po rosyjsku (byliśmy przecież z Mazowsza), powiedziała, że "syszczyk" (olśniło ją coś), co znaczy agent tajnej policji. Na szczęście tłumacz (byli nimi przeważnie polscy Żydzi) podskoczył na krześle i zaczął krzyzczyć, żeby nie słuchali, co mama mówi, że głupstwa pleciesz, nie zna i nie rozumie rosyjskiego, że tata był buchalterem itd.

W ten sposób dożyliśmy do czerwca 41 roku. Do Pożego Narodzenia 40 roku było stosunkowo spokojnie. Moja ciotka Hala, która z nami mieszkała, ale przyjechała do Nowogródka rok przed wojną, uzyskała zezwolenie na wyjazd na stronę niemiecką. Tym ~~kim~~ którzy byli tu krótko, pozwalano wracać.

Zawsze było wiadomo, kiedy będą wywozić. Nowogródek nie miał kolei szerokotorowej, tylko wąskotorówkę. Więc noc przed wywózką spędzano Białorusinów z wozami, cały rynek był nimi zastawiony. Wiadomo było: będą wywozić. Ja zresztą byłam nieszczęśliwa, że nas nie wywieźli do Rosji, uważałam, że to wstyd i hańba: wszystkich patriotów wywożą, a my co - gorsi?

Tej nocy w czerwcu usłyszałam, jak mama woła, żeby dziecku krzywdy nie robić, nie budzić dziecka. Usiadłam, okazało się, że w mieszkaniu jest pełno żołnierzy z karabinami. Musiało to być NKWD, ale zapamiętałam ich jako żołnierzy. Mama powiedziała, żebym się ubrała, bo przyszli zabrać tatę. Tamci zdumieni (jak mnie ujrzeli) - miało być "dziecko", a tu dziewczyna 13 letnia, dali się nabrać. Tatę zabrali do kuchni, zaczęli robić rewizję. Był z nimi też jeden Żyd nowogródzki jako tłumacz, nota bene bardzo dużo nam pomógł. Do mama straciła głowę. Póki ojciec był w kuchni - płakała. Zapakowałyśmy ojcu walizeczkę, aresztowali go i zabrali, ocz. do więzienia. Pamiętam, że przy kuchni stał bojec z karabinem, powiedziałam, że chcę się pożegnać z ojcem, on, że "nie lizia". Odepchnęłam mu karabin i nic mi nie zrobił. Ja wiem, że ludzie opowiadają różne straszne rzeczy. Może miałam szczęście, że zawsze trafialiśmy na różnych dobrych ludzi, a może dlatego, że ojciec był lubiany, popularny... nic złego nam nie zrobili nigdy. Przepchałam się do kuchni, pożegnałam z tatą. Zabrali go. Rewizja. Zapatali mnie, czy jest gdzieś broń, powiedziałam że jest, oczywiście - i znaleźli 24 srebrne noże wyprawowe mojej mamy. Byli źli, mama się denerwowała, ale jakoś poszło.

Zacząłyśmy się pakować, powiedzieli, że tyle można zabrać ile się uniesie (...), więc mama nic nie chciała wziąć. Nie pozwalała zabrać cukru, bo był w ciężkich pudłach metalowych. Wobec tego ten polski żydek pościągał brudne poszewki z poduszek, kazał mi w nie ten cukier powsypywać, zawiązać. Zdjął mi też krzyż nad krami drzwi, powiedziałam, że chcę go zabrać. Chciałam wziąć albumy ze zdjęciami - mama powiedziała, że za ciężkie, to on mi zdjęcia powymnował. Wzięłam jakąś książkę Rodziewiczówny, a on szynkę, która wisiała w schowku zawinał w ścierkę, zapakował, garnki (mie by to do głowy nie przyszło). Jednej rzeczy mi nikt nie powiedział: żeby zabrać narty. Wstydziałam się je zabierać, bo wtedy już się mówiło, że wojsko polskie z zachodu idzie: ja takiego małego ducha

nie chciałam nie wierzyć, że w lipcu przyjdą? W lipcu będę wracała z nartami? A tymczasem te narty bardzo by się na Syberii przydały.

Zapakowali nas na furmankę. W ostatniej chwili pobiegłam do ogrodu i zerwałam wszystkie irysy, żeby ci chłopcy nie pokradli. Jedziemy. Prefekt naszego gimnazjum (jest teraz we Wrocławiu), ksiądz Dzierkiewicz z okna nas błogosławił, wysłał pania, u której mieszkałam z obrazkiem (chyba go mamie do trumny włożyłam) z błogosławieństwem na drogę.

Zawieźli nas do Nowojelni, była to miejscowość niedaleko Nowogrodka, gdzie już była normalna kolej. I tam chyba siedzieliśmy w lesie ze dwa dni. Pamiętam, że w tym transporcie były z nami panie Michalskie, które miały kiosk z gazetami, pani Sabniewska z dziewczynką. Siedzieliśmy, rozmawiało się. Młodzi chcieli uciekać, mamy mówiły, że nie, bo gdzie? Potem nas załadowano do wagonów towarowych z pryczami. W naszym wagonie było 16 osób, m. in. profesor geografii Łoziński (jego brat był biskupem pińskim) z żoną, córką i koleżanką córki, która akurat u nich nocowała, więc ja też zabrali. Dalej: chyba pani Cwynarowa z córeczką, pani Dobrzyńska z naszej ulicy z trzema synkami i jeszcze jakieś rodziny. Urzednicy państwowi (...). Żadnych rozpraw rzecz prosta nie mieliśmy, natomiast oni już mieli przygotowane wyroki. Stał żołnierz, wyczytywał nas, miał osobny arkusz dla każdego. Nam odczytał, że skazują nas na 20 lat na zesłanie na Syberię. (...) Podeszłam, spytałam: dlaczego? - "Nie twój interes!" - odpowiedział. Trzymał palec w tym miejscu arkusza, gdzie było napisane, dlaczego. Więc mu usunęłam ten palec (uchodziłam za odważną, choć byłam się jak głupia), a tam było napisane: "urzędnik państwowy". (...)

Wagony z nami stały chyba dość długo, bo pamiętam, że przyjechały dwie koleżanki (Zosia Dębnicka i Danka Serbowicka), które się dowiedziały, że nas wywieźli. Pobiegły do naszego domu i pozbierały tam jeszcze trochę rzeczy, które nam się mogły przydać. Przwiozły

mi np. piłkę futbolową skórzana, bardzo dobra, która bardzo się w Rosji przydała - sprzedaliśmy ją tam za ciężkie pieniądze. Także wzięły dla nas trochę ubrania i jedzenia. Uchylili drzwi wagonu i pozwolili, żeby one nam to dały. Można było też trochę porozmawiać.

Jechaliśmy i jechaliśmy - chyba ze dwa tygodnie. Jak dojechaliśmy do granicy polsko-sowieckiej, to już było wiadomo, że wybuchła wojna. Chyba ci żołnierze nam o tym powiedzieli. Każde cztery wagony miały swojego konwojenta, który otwierał wagon, zabierał z niego 2 osoby, które szły za nim po "kipiatok", zupełne czasem, chleb. Raz dziennie. W wagonie były nary, na których się spało, pod nimi bagaże - i dziura w podłodze, rodzaj ubikacji bez osłony. Przez 2 pierwsze dni trzymaliśmy koce dla osłony osobom, które się chciały załatwić. Chłopcy pani Dobrzyńskiej wstydzili się nawet za kocem, w końcu jeden z nich zachorował na żołądek. Ani chłopców, ani mężczyzn nie chcieli brać po tę zupełną - zawsze były to kobiety. W końcu uprosiliśmy konwój, żeby tym chłopcom pozwolili wyjść na powietrze. A potem nawet już nie fatygowaliśmy się, żeby koce trzymać. Córka prof. Łozińskiego, Irka (chyba była po maturze) miała zapaskę łowicka, więc kto szedł "do ubikacji", zakładał tę zapaskę i mówiliśmy, że nie należy patrzeć w tę stronę. I spokój. Irka używała też owej zapaski, jak chodziłyśmy po "kipiatok". Ustawiali nas wtedy czwórkami (moja mama przeważnie latała, mnie nie puszczała). Irka zawsze w tej zapasce wychodziła, dobrze ją było widać. A jak odeszły kawałek, Irka przkładała tę zapaskę na koleżankę lub na moją mamę i sama dawała nura w bok. Szła zobaczyć, co się dało. Trzychodziły kobiety sowieckie, czysem jej któraś dała jajko lub pęczek rzodkiewek, czasem udało jej się coś kupić. Ona w ogóle była ryzykantka. W wagonie były okienka ze sztabami żelaznymi, to z Izą odkreciła jedną sztabę, tylko dlatego, żeby wyglądać przez okno. Uciekać nie było gdzie - już była wojna. W czasie jazdy wychylały się do połowy, żeby powietrze trochę złapać. Kiedyś coś cię stało z naszym konwojentem, przez

dwa dni nikt nie otwierał wagonu, nie mieliśmy wody i jedzenia. Sta-
naliśmy na stacji - znów nikt nie przychodzi. Irka z Izą wystawiły
nogi przez okno! "Włoch przyjdą, zobaczą europejskie nogi!" Zaraz
przyleciało z dziesięciu bojców i krzyczą, żeby włączyć! A ona: "Ja
uciekam, bo nikt nam wody nie przynosi!" Natychmiast przynieśli wo-
dę. Aha, jak stawaliśmy w Mińsku (wyglądał na zbombardowany), mijaj-
liśmy pociąg uchodźców z Nowogródka i nasza brygadierka z chopcami,
którzy mi kradli kwiaty, jechała...

Pamiętam, że prof. Łoziński obudził nas o świcie, żeby nam Ural
pokazać... Takie różne drobiazgi pamiętam. Nie pamiętam postojów,
dopiero w ~~Bieżyńsku~~ (chyba Aczyńsku). Była tam ogromna hala -barak,
do której nas rzucono, ciasno, nie ma nar, speło się po prostu na
rzeczach własnych, a tych rzeczy mieliśmy dość sporo. Pamiętam, że
mama nie spała całą noc, bo uważała, że ja powinnam spać (...). Ko-
ło nas stary człowiek cały czas się modlił: "Panie, wybacz im, bo
nie wiedzą, co czynią". Mama błagała go, żeby przestał: jak może
modlić się za ludzi, którzy nas wywieźli. Byliśmy pod dachem, nie
było nam więc tak źle. Natomiast na drugi dzień przyjechały transpo-
rty Łotyszów i Estończyków. Ich już zabierano w wielkim pośpiechu
po wybuchu wojny. Nie mieli ze sobą żadnych rzeczy, żadnego jedze-
nia. Myśmy mieli zapasy. W drodze nie dali jedzenia, to nie dali:
jadło się suchy chleb i np. tą szynkę wędzona. A oni nic nie mieli!
Była wśród nich kobieta, która nożem kuchennym zamordowała dwoje
dzieci, bo płakały o jedzenie, a ona nie miała im co dać. Była też
stara pani, która cały czas chodziła koło tego czworoboku, szukając
synów, których aresztowali wcześniej. Wszyscy oni koczowali na dwo-
rze, na deszczu, bo już w hali nie starczyło dla nich miejsca. Sta-
ło się w wiecznych kolejkach do ubikacji.

A potem zaczęły przyjeżdżać furmanki chłopskie i rozwożono
nas do kołchozów. Podróż była przyjemna. Wzięli nas 5 rodzin, jecha-
liśmy na dwóch czy trzech wozach, my na spiętrzonego bagażu. (...)
Nocowaliśmy w lesie przy jakimś ognisku, komary nas gryzły, chłopci

sowieccy śpiewali. W kołchozie przyjęto nas bardzo serdecznie, myśleli chyba, że jesteśmy uchodźcy wojenni, nie zesłańcy polityczni. Przygotowali dla nas kolację: zupę z kapusty na rosole (nazywa się to "szczy"). Pamiętam, że dali nam drewniane łyżki i rozpłakałam się wtedy (...) uważałam bowiem drewniane łyżki za symbol obywatelstwa drugiej klasy. Do głowy mi nie przyszło, że powinnam być szczęśliwa, że mi jeść dali. To był pierwszy raz, kiedy w Rosji płakałam.

Cztery rodziny (4 panie, z których 3 miały po jednej córce, a jedna 2 córki) ulokowano w małej dwupokojowej chacie z kuchenką z ruskim piecem, na którym nie umiałyśmy gotować. Pania z trzema synami umieszczono w innym domku na drugim końcu wioski.

Obiecywano nam, że pójdziemy do szkoły, ale okazało się, że właściwie wszystkie jesteśmy za stare, bo w kołchozie była tylko cztero-klasówka. Wobec tego poszłyśmy do pracy, tylko Halinka Zygnerówna miała 11 lat, była najmłodsza i nie pracowała.

Kołchoz, zdaje się, zwał się Błagowieszczańka i był dość daleko od Aczyńska, bo wieziono nas przecież część dnia, noc i jeszcze kawałek następnego dnia. (Po amnestii jechało się do Aczyńska pociąg^{em} lub autobusem). W każdym razie w tej Błagowieszczańce (Błagowieszcance?) mieszkaliśmy całą jesień. Najpierw przydzielono mnie do pasienia cieląt. Cielęta te kazano Rosjanom (a było tam wielu Rosjan potomków zesłańców), którzy mieli odrobinę swojego gospodarstwa: kawałek ogrodu, kozę, krowę czy cielę - na ochotnika zgłaszać jako ofiarę dla wojska. Chcieli czy nie chcieli, musieli to deklarować. I 6 czy 7 tych cielaków z panią Zygnerową, żoną policjanta internowanego na Litwie, usiłowałyśmy paść, ale nam uciekły. Myślałyśmy, że w tajgę, wróciłyśmy z płaczem do kołchozu, gdzie się okazało, że powróciły po prostu do swoich gospodarzy...

Po tem mnie zdegradowano z pastucha i jakiś czas byłam stróżem na polu ogórków. Była to synekura, bo siedziałam sobie na płocie, czytając rosyjskie książki, które mi pożyczała nauczycielka, choć

były wakacje. Bardzo słabo czytałam po rosyjsku (...), ale brałam takie książki, które znałam, np. był tam "Pokój na poddaszu" Wasiliewskiej, "Księga dżungli", bajki Andersena. Pomału się uczyłam. Jak jakiś wielki chłop czy baba ze wsi przychodzili, żeby sobie urwać ogórków, nic nie mogłam zrobić: urwali sobie, jeszcze i mnie jednego dali. Ja zresztą nosiłam kurtkę z szerokimi rękawami i do domu przynosiłam pełne rękawy ogórków. Nie było żadnych innych jarzyn. Parę razy chodziłam do siana. Jesienią zaangażowano mnie do pracy w dużych spichrzach, magazynach, gdzie kołchońnicy zwozili zboże i siano. Miałam otwierać bramę i palić w piecu, żeby się mieli gdzie ogrzać. Ponieważ mi się nudziło, rysowałam węglem na ścianie, wszyscy podziwiali te rysunki, a magazynier czasem podsunął mi ~~xxx~~ kieszonowego ogórka albo łyżkę miodu. Poza tym kłatałam worki, tak że wyrobiiałam więcej niż mama, bo ona przy sianie czy wianiu zboża, nie przyzwyczajona do ciężkiej roboty - dostawała pół "trudo-dnia", a ja trzy czwarte, a czasem i cały. Praca była przymusowa, poza tym trzeba było z czegoś żyć. Dostawaliśmy zapłatę w naturze, przeważnie owies z plewami, wiozło się to do młyna i mamy chleb z tego piekły. Oprócz tego w dnie wolne chodziły pracować do ludzi, którzy mieli swoje pole, ponieważ dużo mężczyzn było w wojsku i kobiety nie mogły sobie ze wszystkim poradzić. Jak miała także kilkoro dzieci, męża w wojsku, półko kartofli zasadziła, a cały dzień musiała pracować na kołchońnym - chętnie angażowała nasze mamy, żeby wykopały itd. Za to mamy przynosiły worek kartofli (woreczek). Poza tym chodziło się do lasu (rzadka tajga z polanami). Na tych polanach siali zboże, sadzili kartofle, ale nie dawali rady tego zebrać (nikt tam się naprawdę nie przejmował pracą, raz że mężczyźni w wojsku, dwa że nic z tego nie mieli), więc to gniło, leżało pod śniegiem. Idąc po drzewo, przy okazji trochę się stamtąd kartofli wykopywało. Tak się żyło. Wieczory spędzałyśmy na opowiadaniu i przypominaniu przepisów na dobre potrawy. Jedną dziewczyna miała wiersze Mickiewicza, ja te

Rodziewiczównę, opowiadałyśmy sobie filmy i książki. Było nas tam, jak mówiłam, pięć polskich rodzin: pięć matek, pięć córek i trzech synów. Wszystkie dzieci nastolatki.

Któregoś dnia byłyśmy przy sianie. Pewien Rosjanin, Sikorski, używał gazet do skrętów. Woła do nas: "Patrzcie ciotki, tutaj o mnie napisali!" - I pokazuje z dumą w gazecie obrazek: generał Sikorski z Mołotowem maszerują przed frontem Wojska Polskiego. W ten sposób dowiedziałyśmy się, że jest wojsko, amnestia itd. Mamy poleciały do "predsielatela" z krzykiem, dlaczego my nic o tym nie wiemy. Powie dział, że jest wiadomość i ktoś ma przyjechać. Niedługo potem ktoś przyjechał, wezwali nasze matki do biura (...), kazali oddać te napiery, w których była mowa żeśmy my 20 lat skazani, a dali "udostowierzenie", że jesteśmy wolni i możemy zmienić miejsce zamieszkania. Z tym że nie było to takie proste. Na terenach polskich wojna, nie było gdzie i za co podróżować. Więc chociaż do miasta.... Dwie nasze mamy poszły do najbliższego małego miasteczka, żeby się poradzić (była tam lekarka) co dalej, stamtąd odchodził autobus do Aczyńska.. Potem opowiadała mi mama, jakie miały przygody. Żeby się w Aczyńsku zameldować, trzeba było mieć miejsce pracy, ale żeby uzyskać pracę, trzeba było być zameldowanym. (...) W końcu mama znalazła jakąś babkę, która jej wynajęła pół maciupeńskiego pokoju. Spałyśmy w jednym kącie, a drugie łóżko stało puste i gdy nasza siostrzyczka była zagniewana, mówiła, że wpuści tam matrosa. Ale nigdy nie wpuściła. Sama mieszkała w kuchni z 6-miesięczną córeczką i 12-letnim Kola. Tę Wieroczkę ja miałam bawić w ramach dopłaty za najem. (...) Z pięciu rodzin cztrędy pojechały do Aczyńska. Wynajęliśmy furmankę, mamy z rzeczami jechały tą furmanką całą drogę, a dziewczynki z tego małego miasteczka pociągami czy autobusem. Mama odkryła w sobie niesamowite talenty organizacyjne, wszystko załatwiała.

Nie pracowało się w Aczyńsku, tylko się handlowało na rynku, sprzedając posiadane rzeczy. W kolchozie było się krótko, raczej

nie wyzbyłyśmy się rzeczy. Tam kobiety przychodziły do nas po kryj-
mu pojedynczo po medaliki, po święte obrazki, po opowieści - i za-
to przynosiły szklanke mleka lub coś takiego. W Aczyńsku sprzedawa-
ło się rzeczy po kolei - jak leci. I suszyło się suchary, bo już
wiedzieliśmy, że będziemy jechały do wojska. Przysłano delegata
(tacy byli wszędzie) i on teoretycznie miał nam pomagać. Praktycznie
niewiele mogli zrobić, ale pewne informacje się od nich dostawało
i gazety. (...) Moja młodsza koleżanka, Inka Sobieniewska z mamą i
bratem byli w kołchozie i do nich nie dochodziły gazety. A ja mia-
łam zielone lekarstwo na egzeme (byłam na nią chora) i całe artyku-
ły przepisywałam tym lekarstwem od egzemy jak atramentem, żeby je
przesłać Ince. Bardzo mi się to opłacało, ponieważ, jak się okazało
Inki ojciec siedział z moim w więzieniu, jakoś odnalazł rodzinę,
przesłał do niej listę ludzi, którzy z nim byli. W ten sposób dowie-
działam się, że ojciec dotarł najpierw do Tańszczewa, a potem do
Dżałalabadu do dywizji generała Sufłaka. A parę tygodni potem przy-
jechali panowie Delatyccy (?), ci Żydzi nowogródzcy. Wypuszczono
wszystkich z więzienia. Polacy jak głupi poleciecieli, jak Polacy -
do wojska oczywiście, tata ostatnią koszulę zamienił na dwa niedo-
pałki papierosa (był nałogowym palaczem), po czym w marynarce na go-
łym ciele poleciał do Tańszczewa w trzaskające mrozy - a panowie
Delatyccy przyjechali na Syberię szukać swoich rodzin. No i znale-
źli.

Marginesowa historia, ale śmieszna: była tam pani Siwochowa z
pasierbicą, która ciągle do ojca wdychała (...) a myśmy z Halinką
Zybnierówną wpadły w szak wywoływania duchów. Przychodziły do nas
kobiety sowieckie, przynosiły mleko i kartofle w ziemian za wróżby.
(...) Mamy poszły do tych Żydów po wiadomości, a Janka Siwocha cze-
kała u nas, żeby się dowiedzieć czegoś o ojcu, bo pani Siwosze nic
nie chcieli powiedzieć, chociaż o innych opowiadali. Janka popro-
siła, żebyśmy "ducha" zapytały, ale nie wychodziło. (...) Jak Jan-
ka wyszła, mama nam powiedziała, że dowiedziała się od nich, że

pan Siwocha nie żyje, że go zamordowali.

W końcu mój tata przysłał papierek, że wzywa nas jako rodzinę wojskową do Dżakhabadu, który jest na południu Azji, a my w Krasnojarskim Kraju... Ponieważ tata pisał bardzo niewyraźnie, ale nastawił mnóstwo pieczętek, mama szybko dopisała Irke Jozińska jako drugą córkę. Zebrała jeszcze parę osób, które dostały takie same papierki. Ci panowie (chodzi chyba o Delatyckich) pomogli nam przekupić naczelnika kolei, bo pociągi były dla wojska, dla ludzi, którzy jechali "w komandirowkie". Ale jakoś go przekupili, dał nam wagon, było nas chyba 15 osób.

Jechaliśmy w dwóch przedziałach osobnych przez całą Rosję w mrozy, w walonkach wojskowych, w futrzanych płaszczach, w czepach. Gdzieś pod Taszkientem chyba przyszedł do naszego wagonu jakiś inspektor, ktoś tam zachorował w wagonie na tyfus. Odczepili cały wagon, trzeba było przejść "sanobrabotkę". Nad ranem zapędzili nas do łaźni, woda ledwo ciepła (...), nasze ubrania wrzucili do jakiegoś kotła, oddali letnie i śmierdzące. Chcieli wszy powybijać, bo roznoszą tyfus. Jak wyszliśmy z łaźni, jakiś chłopczyk podbiegł do mamy i powiedział: "Cioteńka, a tobie nie za gorąco w tych walonkach?" Popatrzyliśmy wokół: nie ma śniegu, trawa zaczyna się puszczać, liście na drzewach - już byliśmy daleko na południu! Dalej już nie mieliśmy własnych przedziałów, wpełchnęliśmy się na siłę do wagonu, w którym jechali żołnierze sowieccy. Nie wiem, czy z frontu, czy na front, bo matki nie pozwalały nam z nimi rozmawiać (zgwałca, zamordują...), położyły nas na jakiejś półce, kazały udawać, że jesteśmy małe dzieci. A oni śpiewali, grali na harmonijce, tańczyli w przejściu kozaka - ciągle do nas zaglądali i chcieli rozmawiać. Była z nami Białorusinka, Lidia, miała 17 lat, bardzo ładna. Ta rozmawiała z żołnierzami, było jej ich żal. A my na nią bardzo obrażone. Na jakiejś stacji jeden z nich poleciał, wrócił, wyciąga coś zza pleców pół bochenka chleba i daje go Lidii. Prezent dla niej... Wtedy się rozpłakałam, chyba w Rosji drugi raz, bo tak mi się miękko zrobiło

na sercu: wszędzie chłopak z kwiatami, z czekoladkami, a tutaj... prezent: pół bochenka chleba. Ale potem pociąg się popsuł i staneliśmy w miejscu, gdzie kwitły czerwone dzikie niskie tulipany. Chłopaki wyskoczyły i nazbierali narezcza tulipanów dla Lidii. Nam nie dali... Byłyśmy zażenowane, było nam przykro. Wymądrzałyśmy się ("nie rozmawiamy z wrogami") i nie dostałyśmy tulipanów.

Pociąg chyba jechał tylko do Dżambużu. W tym kazachstańskim mieście zatrzymaliśmy się. Było tam strasznie. U jakiejś kozaczki mieszkaliśmy, nie było jedzenia, nie było czym palić, trzeba było zbierać jakieś zielsko. Na stacji w Dżambule parę nocy siedziałyśmy próbując dostać bilety, żeby jechać dalej. W nocy wciąż ktoś kogoś okradał, mordował, wrzaski, krzyki. My jak stadko kurcząt stałyśmy na tych swoich bagażach, a mimo to jednej pani walizkę ukradli. W końcu jakoś dotarłyśmy do Taszkientu. Po drodze się pogabiliśmy (grupa?), bo mama pchała się ciągle do ojca, miała ten papierek. Chyba w Taszkencie wypatrzyła jakiegoś żołnierza polskiego, poleciała za nim, uczepiła się jego ręki: musi nam pomóc. Ten pan jechał z żoną i dwoma synami, ale i jego żona, że "musisz im pomóc"-krzyczała, więc jakoś nas targał (nas dwie i Irkę Łozińską) ze sobą. Był w mundurze, to mu było łatwiej jakoś. Podróżowanie tam to była makabra, to się nie da opowiedzieć. Co chwila nas skądś wyrzucano, krzyki. Mama krzyczy, że jedzie "w komandirówkę", ktoś, że jedzie służbowo, potem się coś płaciło, przepuszczali nas - i znowu to samo. (...)

Dojechałyśmy do Dżałalabaðu. (Chyba pan Turczyński z nami był). Było tu bardzo dużo żołnierzy, podbiegłam do jednego: "Czy pan zna mojego tatę?" - "Na pewno znam, tylko nie wiem, który to jest". Zaprowadził nas (była noc, kwitły róże i bzy) do Komendy Uzupełnień gdzie pracował mój ojciec.

No i zaczęło się zupełnie rajskie życie. Generał Sulik był bardzo dobry, żołnierze go kochali (Został potem przewodniczącym

Z NF jak przyjechał do Anglii). Ojciec wynajął nam pokój u rodziny rosyjskiej. Irka poszła do wojska, ja nie miałam 13 lat, więc mi nie pozwolili. Były tam polskie nabożeństwa, żołnierze śpiewali, modlili się - stałyśmy i płakały. Była polska parada. Robiono pokazy dla żołnierzy (przedstawienia?), Renata Bogdańska, która później została panią Andersowąrefren. Taty oddział był bardzo maleńki ale po przeciwnej stronie drogi stali saperzy nad stawem. Chodziliśmy tam po jedzenie, żołnierze się z nami dzielili (dostawali mniejsze porcje, żeby starczyło dla rodzin) (...). Łucharze dawali nam gęstą kaszę z cebulą i mięsem wielbłądzim. Kupowało się "lepioszki" a tata przyprawdzał czasem kolegów. Jeśli mama zdołała coś sprzedać i kupić kartofli - robiła wtedy placki kartoflane. Tata raz mnie zabrak na wino, było tam bardzo dużo winogron i świeży moszcz sprzedawano szklankami, jak gdzie indziej lemoniade.

Po paru miesiącach zaczęło się wojsko ewakuować, rodziny też. Kazano nam wszystkie nasze pap^{er}ury zniszczyć, czego nie moge do dzisiaj ~~wziąć~~ przeboleć, bo zniszczyłam swój pamiętnik, który cały czas skrupulatnie pisałam. Zniszczyłam nie ze strachu, że nas nie wypuszczą, ale bałam się, że go będą czytali żołnierze polscy, bo mówili, że wszystko będzie sprawdzane.

Znowu jechaliśmy pociągiem towarowym do Krasnowodsku. Ludzie ~~xx~~ strasznie chorowali na dezynтеріę. Karmiono nas ~~wprawdzie~~ angielskim mięsem, ale po drodze przychodzili sowieccy ludzie, Uzbegy, sprzedawali arbuzy i jakieś ogórki - od tego ludzie strasznie chorowali. W Krasnowodsku siedzieliśmy całuteńki dzień w straszliwym upale. Nie było wody do picia. Były tam dwa czy trzy domy w okolicy i ci ludzie przychodzili z wodą, ale za szklankę wody brali od ludzi obrączki złote, pierścionki. Ludzie dawali, żeby się napić.

Przypływały stateczki. Mówiono, że to już koniec ewakuacji, że się stąd nie wydostaniemy, że tu zostaniemy, więc wszyscy się pchali, żeby się na statek dostać. Jak się wreszcie dostaliśmy, było

nas jak śledzi w beczce, leżało się pokotem na deskach pokładu. Leżałyśmy koło beczki z wodą z kranem - zawsze otwartym. W dzień do kranu cały czas była kolejka, więc nas deptano, cała noc woda na nas kapiała z kranu - nie można go było zakreślić. Do ubikacji była kolejka, bo wszyscy mieli dezynтеріę. Statek płynął do Pahlevi w Persji, dziś nie potrafię powiedzieć jak długo (dzień i noc?) po morzu Kaspijskim. Do samego Pahlevi nie mógł podpłynąć, wysłano po nas małe stateczki, do których nas grupami przesadzano i brano pod pokład. Tam to była naprawdę makabra, wszyscy byliśmy pewni, że nie dojedziemy żywi, że się udusimy. Ludzie siedzieli jedni na drugich. Ale dojeżdżamy do Pahlevi, a tam stoi polska orkiestra wojskowa i grają marsza na nasze powitanie! Żołnierze pomagają nam zejść po trapach, biorą nasze węzełki, prowadzą z orkiestra!

Nad morzem były wyznaczone rewiry, plecione maty i daszki z mat - tam nas rzucono, na piasek nad morzem. Mieszkałyśmy tam ze dwa tygodnie chyba, pojawiły się ekipy sanitarne, lekarze zaczęli nas badać. Większość dziewczyn straciła włosy, golono im, bo miały wszy. Moja mama była bardzo dumna, bo miałam długie warkoczki i ani jednej wszy - pozwolono mi je zostawić. Gotowano okropną zupę z chlorowanej wody. Co dzień przypływały transporty wojskowe, co dzień biegłyśmy nad morze, żeby oczekiwać naszych ojców. A jak już przybyli, to się latało przez druty (mieli kwarantannę) żeby się dostać do tatusia i go zobaczyć. Można też było ~~pkapać~~ kąpać się w morzu, czasem coś kupić, jak tata żołąd przyniósł.

Potem zaczęto nas ładować do autobusów i jechaliśmy do Teheranu. Po drodze nocowaliśmy w Kazywinie. To była cudowna podróż: serpenty, przepaście, baliśmy się patrzeć. Kierowcy się zatrzymywali, Persowie wychodzili z wielkimi koszami brzoskwiń, granatów, moreli. Myśmy to pierwszy raz widzieli, a po Rosji było to coś tak niesłychanego! Dawali nam to za darmo.

Przyjechaliśmy do Teheranu. Były tam trzy obozy cywilnej ludności, my byłyśmy w obozie 3, trochę za miastem, w gaju granatów, w n

namiotach. Szkoła też była pod namiotem, zaczęły od razu działać drużyny harcerskie - zapisałam się oczywiście. Musiałam zdawać egzamin do 2 gimnazjalnej, bo chcieli mnie wziąć do pierwszej. Byliśmy tam od sierpnia, a jeszcze Boże Narodzenie spędziliśmy w Teheranie. Potem zaczęto nas wywozić. Niektóre grupy jechały do Australii, niektóre do Afryki, niektóre do Indii, gdzie było polskie osiedle, polskie gimnazjum, polskie szkoły, szpital (mama tam pracowała). Tam pojechaliśmy. I tam doczekaliśmy końca wojny. Zaczęła przyjeżdżać UNRRA i inne organizacje. Namawiali nas - jedni do powrotu do Polski a drudzy, żeby do niej nie wracać. Były tragiczne decyzje do powzięcia, trudno było się decydować. Ja bardzo chciałam do Polski, moja mama, której ojca bolszewicy zamordowali w 20 roku, nie chciała za Boga Ojca do żadnej komunistycznej Polski. A tata, jak zwykle, w końcu robił to, czego chciała mama. Więc w końcu ustalili listownie że nie wracamy. Z Indii pojechaliśmy do Anglii.

(...) Jeśli chodzi o pracę delegatów w ZSRR, były podobno narzekania (na delegata w Aczyńsku raczej nie). Ale mówiono w Dżambule, że delegatura nie pomaga, że jakieś przyjęcia sobie urządza ją (...). Ale do mnie, kilkunastoletki, to nie dochodziło.